

Mardżana i czterdziestu rozbójników

17 czerwca 2017

Opowieść o Ali-Babie i czterdziestu rozbójnikach z „Księgi tysiąca i jednej nocy” znają prawie wszyscy, bo to przecież baśniowy kanon zarówno dla dzieci jak i dorosłych. Nie wszyscy natomiast pamiętają pewien ciekawy epizod związany z tą przygodą.

Otóż pewnego dnia złoczyńcy zorientowali się, że ktoś posiadał sekretne hasło otwierające ich skarbiec, więc wysłali na przeszpiegi do miasta jednego ze swoich pobratymców. Ten wytropił dom Ali-Baby i postawił na nim znak kredą. Jednak niewolnica Ali-Baby imieniem Mardżana dostrzegła biały symbol i, co najważniejsze, zrozumiała jego znaczenie.

W tym miejscu następuje kluczowy moment – sprytna dziewczyna nie starła kredy ze swoich drzwi, lecz w taki sam sposób oznaczyła jeszcze kilkadziesiąt domów w bliższej i dalszej okolicy. Gdy zbójcy drugiego dnia dotarli do Bagdadu, nie mogli odnaleźć właściwego domu, a w końcu uznali, że zwiadowca ich oszukał, co skończyło się dla niego bardzo pechowo.

Z powodu tego zdarzenia Mardżana powinna być uważana za ojca a w zasadzie za matkę dezinformacji wywiadowczej. Ona pierwsza zrozumiała (a przynajmniej była pierwszą postacią literacką, której to można przypisać), że o wiele skuteczniejsze od bezpośredniego negowania prawdy jest jej zniekształcanie i powielanie w krzywych zwierciadłach, powodujących powstawanie prawie nieodróżnialnych, niemożliwych do weryfikacji półprawd, ćwierć-prawd i czystych kłamstw. Mardżana wiedziała, że próbując zetrzeć kredę może zrobić to nieudolnie, że dom może być dalej obserwowany, że jeżeli bandyta-wywiadowca nie znajdzie swojego znaku, to spróbuje przypomnieć sobie szczegóły otoczenia i ostatecznie odnajdzie cel.

Jednak odkrycie kilkudziesięciu takich samych symboli na różnych domach doprowadziło do chaosu informacyjnego – a w konsekwencji do dyskredytacji szpiega i fiaska całej akcji odwetowej.

Taktyka dezinformacyjna była skutecznie wykorzystywana przez całą ludzką historię. Zнали ją starożytni Chińczycy i Egipcjanie, ułatwiała zwycięstwa Hannibalowi, dzięki niej Grecy zdobyli Troję, skutecznie stosował ją George Washington podczas wojny z Brytyjczykami.

Przykłady można mnożyć, ale z pewnością jednym z najlepiej zaplanowanych i zrealizowanych działań dezinformacyjnych była przeprowadzona podczas II Wojny Światowej operacja Fortitude, której celem było przekonanie Niemców, że atak na Normandię jest pozorowany, a właściwa inwazja nastąpi w regionie Pas-de-Calais. Budowano więc atrapy barek desantowych, rozstawiano nadmuchiwane czołgi, generowano w eterze sztuczny przepływ informacji. Mistrz Sun Zi byłby zachwycony, ponieważ aliantom udało się perfekcyjnie zastosować jego wskazówki: „Wojna to sztuka wprowadzania w błąd. Więc jeżeli coś możesz, udawaj, że nie możesz. Jeżeli jesteś gotów, udawaj bezczynność. Będąc blisko, udawaj, że jesteś daleko. Będąc daleko, udawaj, że jesteś blisko”.

W przypadku operacji Fortitude pojawił się jednak nowy aspekt – zastosowana wówczas zaawansowana dezinformacja nie ograniczała się do multiplikowania w nieskończoność podobnych kłamstw, ale starała się iść w głąb, nakładając na siebie kolejne warstwy fikcji. Na skutek takiego wielopoziomowego blefu przeciwnik nigdy nie może być pewien, czy zdarł już ostatnią maskę. Staje się bezradny wobec kolejnych poziomów „rzeczywistości” i paranoicznie drąży głębiej jak bohater „Kongresu futurologicznego” Stanisława Lema, „Ubika” Philipa K. Dicka, czy też filmu „Incepcja”.

Taktyka Mardżany sprzed paru tysięcy lat jest wciąż stosowana i doskonalona przez wywiady oraz służby specjalne. W czasach

nowoczesnej dezinformacji doskonale odnalazła się zwłaszcza putinowska Rosja, co dało się zauważyć zwłaszcza podczas ostatnich wyborów prezydenckich w USA.

Podobną próbę, na szczęście nieskuteczną, podjęto podczas niedawnych wyborów we Francji, gdy w ostatniej chwili starano się zdyskredytować Macrona wrzucając do sieci megabajty jego wykradzionej korespondencji, okraszonej spreparowanymi – ale za to pikantnymi – dodatkami. Połączenie „fake news „z „demaskatorską” działalnością portali ze słowem „leak” w nazwie doprowadziło do sytuacji, w której nikt nie jest w stanie oddzielić ziarna od plew.

Co ciekawe, właśnie ze względu na wielopoziomową intrygę każde rozstrzygnięcie sporu odnośnie do wpływu Rosji na wybory w USA będzie wygraną tej pierwszej – jeżeli ingerencja zostanie oceniona jako znacząca i skuteczna, wzrośnie zewnętrzny i wewnętrzny prestiż Kremla; jeżeli natomiast działania Rosji zostaną uznane za nieistotne lub niebyłe, pożywkę zyskają zwolennicy teorii spiskowych argumentujący, że dobrze ukrywając swoje działania Putin jest o wiele silniejszy, niż chce pokazać.

Z tego powodu można by wręcz zatęsknić za dwubiegunowym światem zimnej wojny, w którym informacja była jednoznacznie spolaryzowana – wystarczyło (pozornie) wybrać między dwoma prawdami: kapitalistyczną lub komunistyczną. Może dlatego czujemy się dzisiaj tacy zagubieni w rozmytym świecie tysięcy prawd.

Jesteśmy jak daltonista, który nagle odzyskał wzrok i zrozumiał, że świat wcale nie jest czarno-biały.

W sterowaniu dezinformacją kryje się wiele z taktyki judo (któryż to przywódca jest miłośnikiem tej dyscypliny?), polegającej na wykorzystywaniu siły przeciwnika. Jeżeli cię oskarżają, że zdradziłeś żonę – nie zaprzeczaj, tylko ze śmiechem stwierdź, że tak naprawdę to masz dwadzieścia

kochanek. Jeżeli powiedzą, że ukradłeś milion, zasugeruj własnymi kanałami, że ukradłeś miliard. W ten sposób dezinformacja wynosząc oskarżenia na poziomy absurdu wytrąca atakującym oręż z ręki. Czasami można odnieść wrażenie, że taką właśnie strategię przyjął obecnie urzędujący prezydent USA.

Nie sposób tu pominąć wątku polskiego.

Co zrobić, gdy chce się ukryć prawdziwego agenta? Zamiast go głęboko konspirować, trzeba wypuścić właściwymi kanałami odpowiednią ilość spreparowanych informacji na temat innych – niewinnych – osób, co z pewnością doprowadzi do chaosu i bałaganu. Kto dziś jest w stanie stwierdzić, ilu tajnych współpracowników z „listy Macierewicza” było naprawdę konfidentami? Można przypuszczać, że sporo nazwisk w archiwach bezpieki pojawiło się tylko po to, aby w tłumie ukryć rzeczywistych agentów.

Podobnie sprawa ma się z katastrofą smoleńską. Już od lat pojawiają się informacje z „dobrze poinformowanych źródeł” o rzekomo dobijanych ocalałych, o osobach, które widziały wybuch samolotu w powietrzu, o manipulacjach na zapisach czarnych skrzynek. Czy te wszystkie historie biorą się znikąd?

Wystarczy przecież podsunąć parę plotek czy spreparowanych zdjęć osobom, które wierzą w zamach (na przykład kładąc je na wycieraczce, jak to kiedyś zasugerował pewien prominentny polityk), a można być pewnym, że zostaną odpowiednio nagłośnione i uwiarygodnione. Powstają więc kolejne dziesiątki kłamstw i przeinaczeń, które coraz bardziej utrudniają trzeźwy osąd.

Dezinformacja nie jest jednak wynalazkiem naszych czasów. To po prostu pewna forma kłamstwa, znana człowiekowi od zarania dziejów. Zmieniły się tylko narzędzia, ale sens pozostał ten sam. Kredowe znaki zastąpiły „fake news” zaś deski drzwi – portale społecznościowe.

Główna zmiana sprowadza się do powstania nowych kanałów dystrybucji dezinformacji i nowych metod jej generowania, co z kolei doprowadziło do intensyfikacji zjawiska.

Lecz w dalszym ciągu celem jest przede wszystkim wprowadzenie przeciwnika w błąd.

Autorstwo: Piotr Stokłosa

Źródło: [StudioOpinii.pl](https://studioopinii.pl)